

Kochac' za bardzo

(rzecz o anoreksji i nie tylko...)

Renata Zielińska



RENATA ZIELIŃSKA

KOCHAĆ

ZA BARDZO

RZECZ O ANOREKSJI I NIE TYLKO...

© Copyright by Renata Zielińska & e-bookowo 2010

Grafika i projekt okładki: Emilia Voit

ISBN 978-83-62480-24-1

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2010

*Dla mojej rodziny za to co ze mną przeszli,
dla wszystkich chorych na anoreksję
i kochających za bardzo z nadzieją...*

Mogłabym powiedzieć, że to autobiografia – ale to byłoby kłamstwo. Mogłabym powiedzieć, że to próba pogodzenia się z czymś, zamknięcie pewnego rozdziału w moim życiu – ale to też byłby fałsz. To opowieść o zmaganiach z anoreksją tysięcy kobiet (i mężczyzn) oraz o tym, że czasami kochamy za bardzo.

Nie będę Wam wciskać, że pisanie o tym nie boli. Wspomnienia są wciąż żywe, świeże i uwierają diabelnie duszę (powiedziałabym cholernie, ale to byłoby demoralizujące).

Kamila to ja i nie ja, to możesz być równie dobrze Ty – decyzja, jak w najbardziej kiczowatym teleturnieju, należy wyłącznie do Ciebie. Bramka „A” to anoreksja, bramka „B” to Bartek i koszmar, jakim stanie się Wasze życie (choć będziecie mieć złudzenie, że to nie „real”, to się nie może dziać). Bramki „C” w zestawie niestety nie proponują. To nie ta bajka...

ŚRODA 05.05.2004R.

Nie mogę wytrzymać. Jego dotyk napawa mnie strachem, obrzydzeniem. Przeniosłam swój niewielki dobytek do drugiego pokoju. Ostatnio coraz częściej go nie ma w domu, znika wieczorami. O, słodka wolności samotnych chwil! W tle leci muzyka z „Miasta aniołów”, w lodówce czeka obiad na jutro, mieszkanie łśni, a ja cieszę się tymi kradzionymi chwilami ze sobą. Uspokajam swojego ducha lęku i przerażenia. Czuję, jak staję się bardziej radosna, widzę żywiej, barwniej. Przez ten oplatający mnie i karmiący się moją energią bluszcz zaczynają przedzierać się promienie słońca. Ach, jak grzeją!

GODZINA 23.53

Jeszcze Go nie ma. Może wróci zbyt pijany i po prostu zwali się na łóżko. Ciekawe, jak zareaguje na tą moją „przeprowadzkę”. Zaczynam się bać...

CZWARTEK 06.05.2004R.

Tak bardzo chciałabym realizować swoje marzenia! Tylko jakie one właściwie są? W świecie wymogów, ograniczeń i ciągłych oczekiwań gdzieś zgubiłam siebie i swoje Ja. Mam tylko szczęście, że zdaję sobie sprawę z konieczności odszukania prawdziwego wnętrza. Wierzę w sukces tego przedsięwzięcia.

Zaczynam być szczęśliwa, a właściwie zaczynam wierzyć, że jest to możliwe, że taki twór istnieje. A to już dużo. Chcę, by moja dusza śpiewała nieskrępowana, by umysł nieograniczenie płynął, chcę poznawać, chłonąć życie każdą komórką ciała.

Siedzę skulona, wciśnięta w róg kanapy, popijam gorącą herbatkę i czuję się odprężona, szczęśliwa. Oglądam komedię romantyczną (film, który On uznałby za rozrywkę w sam raz dla takich głabów jak ja) – prosty lekki filmik wypełniony nadzieją, miłością, sztuką, spokojem i marzeniami. Takie są właśnie rzeczy, którymi chcę się otaczać. Czuję, że te książki, które

ostatnio spotykam, ludzie, filmy, zdarzenia i decyzje to znaki. Tylko do czego to zmierza? Czekam otwarta na każde doznanie, czekam, żeby się przekonać...

Wczoraj nie wrócił na noc do domu. Dziś o jego obecności świadczyła tylko góra brudnych naczyń w zlewie, pusta lodówka i lista z „rzeczami do załatwienia”. Kusi mnie, żeby tak to wszystko zostawić, ale chyba zbyt się boję konsekwencji. Z drżeniem serca wspominam jego odrzucające i lekceważące milczenie i moje błagania, by się odezwał, przytulił. Ileż to godzin spędziłam na kolanach przed nim, ile godzin poświęciłam na przeproszanie nawet za to, że żyję. Wzdycham więc i człapię do kuchni. Mam nadzieję, że dziś znów nie wróci i nie zauważy, że się tak objąłam.

PIĄTEK 07.05.2004R.

Ten cuchnący oddech, nawet teraz to czuję. To śmierdzące potem i alkoholem ciało. Te żądania, pretensje, wyzwiska. Dziś jestem tego pełna. Nie chcę już tak żyć, nie mam siły. Nie chcę żyć.

NIEDZIELA 09.05.2004R.

Siedzę sobie u rodziców już drugi dzień. Nie spieszy mi się do mojego mieszkania. Boję się tam wracać i boję się otwarcie do tego przyznać. Nie mam już siły walczyć, nie mam już siły na nic. Nawet, żeby Go kochać.

Liczę, że pod skrzydłami rodziców podładuję troszkę akumulatory, odzyskam choć część wiary w siebie, we własne możliwości. Liczę, że ponownie odnajdę drogę do siebie.

PIĄTEK 14.05.2004R.

Stan niebytu – tak można określić miniony tydzień mojego życia. Chyba przeżyłam prawdziwą przemianę i stałam się innym człowiekiem. Ucieczka od Bartka (to dziwne – dopiero teraz użyłam jego imienia) zapoczątkowała serię wydarzeń, następujących po sobie lawinowo.

Stres wywołany rozstaniem, ciągle spadająca waga (nigdy bym nie uwierzyła w to, że tak po prostu można zapomnieć o konieczności jedzenia), ciągle rozterki, brak widocznego celu, gorączkowe poszukiwanie samej siebie no i przede wszystkim dwa lata ciężkiej obozowej harówki (Herr Bartek czuwał) zrobiły swoje. We wtorek obudziłam się tak po prostu w szpitalu. W pamięci kompletna pustka, blokada, czarna dziura (mogłabym dalej opisywać ten stan, ale szkoda marnować papieru).

To brutalne sprowadzenie mnie na ziemię chyba było konieczne. Uzmysłowiło mi, jak cenne jest życie, jak wiele ludzi

mnie kocha, troszczy się o mnie, a przede wszystkim, z jakim kłamca i hipokrytą związałam swój los. Łgarstwa, oszustwa, manipulacje – tym dałam się tyle czasu omamiać, tak nędnymi pozorami miłości. Dopiero teraz na wierzch wychodzą różnice między rzeczywistością a światem fantazji, jaką Bartek mnie i siebie otaczał. Albo może ja dopiero teraz to dostrzegłam?

Szczytem wszystkiego było nie poinformowanie moich rodziców o pobycie w szpitalu. Pomyśleć, że w niedzielę przyjechałam na jego prośbę, mieliśmy porozmawiać... Dwa dni później budzę się w sztywnej pościeli, na szpitalnym łóżku, a za rękę ściska mnie lekarz szepcząc, że teraz już wszystko będzie dobrze, że już mnie nikt nie skrzywdzi. We krwi alkohol (?), na papierze rozpoznanie – *anorexia nervosa*, a w sercu pustka. Bartek zaś nieporadnie próbuje się tłumaczyć przed lekarzami i rodziną dlaczego, u licha, ukrywał się przez dwa dni.

Pamiętam pierwszą spokojną myśl w szpitalu – teraz nie pozwolą mu mnie skrzywdzić. Zasnąłam bezpieczna i szczęśliwa.

SOBOTA 15.05.2004

Oj... Dziś najchętniej nie wychodziłabym z domu. Szerokiej publiczności poleciłabym zagrzebanie się w puchowych kołdrach z milusim kotkiem przy boku, książką w ręku (posiadającym takowego polecałabym ukochanego mężczyznę) i kubkiem gorącej kawy w dłoni. Świadomość, że muszę pojawić się w mieszkaniu, bo przecież muszę w coś się ubrać, jest okropna. Modlę się w duchu, żeby się na niego nie natknąć. Jedno jego słowo potrafi zadać ranę stokroć głębszą i boleśniejszą niż ostrze noża. A wszystko z delikatnym uśmiechem na ustach i stalowym błyskiem w oku. Zimno i beznamiętnie... jak wewnątrz jego serca.

Wieczór. Udało się. Nie wiem, gdzie się podziewał, ale zastałam puste mieszkanie. To dziwne, zważywszy, że było dopiero południe, więc teoretycznie powinien:

- a) słodko sprać (faza REM),
- b) obracać się na drugi bok,

c) wylegiwać w łóżku przeglądając gazetkę w świerszczykowatym stylu (ma ich całkiem sporą kolekcję – znalazłam wpięte do segregatora dołączanego do, tak popularnych teraz, odcinkowych zeszytów encyklopedycznych).

Tak, czy siak, nie zagłębiając się w to, czy odwiedzał kochankę (jedną z wielu, jak się okazało), czy też odwiedzał swego brata Belzebuba (bez obrazy dla szacownego czarcika – to nie jego wina, że ma takiego brata jak Bartek) cieszę się, że go nie zastałam.

Zebrałam tylko kilka osobistych rzeczy, kosmetyków i parę książek. Po resztę mojego skromnego dobytku przyjadę z transportem i obstawą. To dziwne, ale pakując się czułam przypływ energii. Nie było tak, jakbym uciekała (choć strachliwe wyglądanie przez okno wydaje się zadawać kłam moim słowom), lecz jakbym dostała kolejną szansę od losu na nowe, pełniejsze życie. Wpadnięcie w pułapkę „bycia winną”, w którą tak bardzo Bartek starał się mnie wciągnąć, byłoby teraz prawdziwą katastrofą. Staram się myśleć pozytywnie. Teraz, kiedy zrozumiałam, że to on ponosi odpowiedzialność, że

to człowiek uczuciowo okaleczony, zdolny tylko ranić, teraz, kiedy zrozumiałam, że ja też przy nim stałam się chora, gnębienie własnej osoby byłoby gwoździem do trumny. Tak, tak, wiem, co napisałam... Czuję się jak na korespondencyjnym spotkaniu AA (z małą różnicą):

„Cześć! Jestem Kamila, mam 25 lat i jestem ANOREKTYCZKĄ”